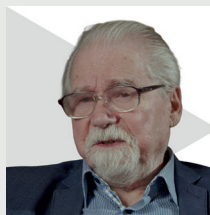


Jerzy Jachowicz



część I z III

Sygnatura notacji: **N0659**

Data urodzenia: **15.05.1938 r.**

Data nagrania: **04.03.2025 r.**

Miejsce nagrania: **Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 47 min, część II: 52 min, część III: 52 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**

TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jerzy Jachowicz: Nazywam się Jerzy Jachowicz, urodziłem się 15 maja 1938 r. w Sochaczewie, małym miasteczku, można powiedzieć prawie żydowskim, uznanym tak powszechnie za miasteczko żydowskie, około 50 kilometrów od Warszawy. Można powiedzieć, ta data, 1938 r., na rok przed wybuchem II wojny światowej, więc jestem dzieckiem wojny. Ten okres pozostawił pewne rysy na mojej osobowości, na mojej przede wszystkim świadomości. No i jakoś odcisnął się, niezbyt dramatycznie od razu muszę powiedzieć, na moim dzieciństwie i na moim życiu. Dzieciństwo było w miarę spokojne, jakby bezpośrednio represję okupacji niemieckiej mnie nigdy nie dotknęły, poza jednym dramatycznym wydarzeniem. Nie miałem wtedy jeszcze świadomości, bo kiedy ojca w łapance skierowano do robót w Niemczech, byłem właściwie tego nie w pełni świadomy. Dopiero mając kilka lat, czyli mając 3–4-latka, zauważyłem istotny brak ojca w domu. Wychowywany byłem przez mamę. Mieszkaliśmy w dosyć surowych warunkach, w takim małym domku. W małym mieszkaniu, pamiętam dokładnie, na parterze, w centrum miasta, z tym że to centrum dla mojego mieszkania było niedostępne, ponieważ było oddzielone wysokim blokiem od głównej ulicy Sochaczewa. Nazywała się ulica Warszawska, a to dlatego, że właśnie prowadziła wprost do Warszawy. Z tego okresu dzieciństwa, oprócz zabaw chłopięcych, takich naturalnych dla tamtego wieku, a więc różnych wojen między poszczególnymi dzielnicami, między poszczególnymi ulicami, między chłopakami, głównie chłopakami, nawet nie pamiętam, żeby jakieś dziewczęta brały udział w tych harcach dziecińczych. Pamiętam kilka rzeczy, które na pewno odcisnęły się piętnem. A więc przede wszystkim poczucie braku różnych podstawowych rzeczy, jeśli chodzi o żywność, o jedzenie. Mama, kobieta bardzo prosta, właściwie prawie nieumiejąca pisać, chyba skończyła dwie, trzy klasy szkoły podstawowej, tak że z trudnością, bardzo wielką trudnością pisała kilka zdań, czytała również z niemałymi kłopotami, ale była osobą niezwykle serdeczną, kochającą i zaradną. Między innymi jej zapobiegliwość, jeśli chodzi o zapewnienie

mnie, ale nie tylko mnie, bo i sobie jakiejś znośnej roślinności w tamtych warunkach było to, że mama zajmowała się tym, co nazywamy szmuglowaniem. Szmuglowaniem to był taki zwrot, przejęty zresztą z języka niemieckiego, ale który był modny w okresie okupacji, bezpośrednio po okupacji. Polegał on na pokątnym kupowaniu różnych zakazanych rzeczy. Głównie chodziło tu o produkty żywnościowe, głównie mięso, ale także wędliny, pieczywo jakieś wyszukane, ale mama zajmowała się kupowaniem od wytwórców tych rzeczy, które tu wymieniłem i później za jakimś, nie wiem jakiego rodzaju zyskiem odsprzedawaniem dla tych ludzi, którzy zamawiali takie produkty albo którzy po prostu byli stałymi odbiorcami takich produktów. Wiem tylko, z dzieciństwa pamiętam, że mama traktowała mnie jako zasłonę dymną, ponieważ to szmuglowanie było bardzo srogo przez Niemców karane, jako sprzeciwianie się, można powiedzieć, regułom okupacji, więc to było zawsze robione konspiracyjnie. Mama jeździła pod Sochaczew do wsi, do małych miejscowości odległych o kilkanaście kilometrów od Sochaczewa. Zwykle to było gdzieś na wsi albo na przedmieściach jakiegoś innego małego miasteczka. Tam kupowała te produkty, które miały później zbyć w Sochaczewie. I mnie traktowała, z jednej strony dziecko miało być takim, mały chłopiec miał być parawanem, który łagodził i który mógł stanowić taką przesłonę, że nie zajmuje się czymś nielegalnym. Co więcej, również mnie wprowadzała w ten proceder, wiedząc o tym, że dziecko chyba nie będzie surowo ukarane, jeżeli odkryją u niego to. Mianowicie pod kurtką byłem opasany często kilkoma warstwami kiełbasy, dzięki czemu wyglądałem o wiele bardziej okazale, niż w istocie reprezentowałem swoją osobą. Byłem chłopcem naturalnym, niczym się niewyróżniającym. Jednakże muszę powiedzieć, to poczucie braku, poczucie głodu z jednej strony było dojmujące, ale z drugiej strony też pamiętam, że na przykład w okresie lata, kiedy mama wtedy już zajmowała się latem tych dóbr, które przynosiło lato i jesień, a więc głównie owocami różnymi, które także kupowała i w Sochaczewie sprzedawała o wyższej cenie. Pamiętam, że z drugiej strony towarzyszyło mi takie rozumienie tego, że inni czegoś nie mają i że trzeba się z nimi tym dzielić. I to muszę powiedzieć po trosze może, nie w wielkim stopniu, bez przesady, ale zostało u mnie w życiu. Mianowicie pamiętam taki epizod, kiedy mama przywiozła kilkanaście kilogramów gruszek. Bardzo soczystych, to były tak zwane „klapsy” i zostawiła je w domu, a tę część owoców, które chciała sprzedać na bazarze, po prostu zapakowała na jakiś taki podręczny wózek i pojechała z tym. Ja siedziałem w oknie na parterze, okno było otwarte, była piękna jesień i jadłem gruszki i jeden z kolegów z podwórka podbiegł i zapytał, czy mogę poczęstować go gruszką. Oczywiście dałem mu. Za chwilę zjawili się kilku i proszę sobie wyobrazić, doszło do tego, że ja połowę tych gruszek po prostu rozdałem dzieciom, które dowiedziawszy się, jaka frajda ich spotyka, skorzystały z tego i przez kilka godzin nieobecności mamy po prostu pozbawiłem nas takiego dużego dopływu prawdopodobnie gotówki. Innym epizodem z tamtego okresu był już okres bezpośrednio po wojnie, mianowicie przywiezienie, przyjazd mojego ojca z niewoli niemieckiej, który już został przywieziony o całkowicie zrujnowanym zdrowiu. Tak że już właściwie nie zobaczyłem go chodzącego, tylko od razu, kiedy pierwszy raz zobaczyłem go, to już leżał w łóżku. Leżał jeszcze kilka tygodni, po czym zmarł. I pamiętam doskonale pogrzeb jako taką niezwykłą dla siebie także uroczystość, do której wracałem poprzez zdjęcie, między innymi jedno ze zdjęć, które miałem, na którym stałem nad tym grobem już przysypanym, nad grobem ojca. – A ojciec, w jakim obozie był? Słucham? – Ojciec, w jakim obozie był? – Nie wiedziałem, nigdy się nie dowiedziałem tego, bo ojciec już wtedy, kiedy przyjechał, właściwie nie mówił, nie reagował poza przyjmowaniem pokarmów, tak że nie miałem z nim żadnego kontaktu. – A jak się nazywali rodzice? – Rodzice nazywali się tak, jak ja się teraz nazywam. – Ojciec miał na imię Feliks, a mama Natalia Jachowicz i oni byli prawdziwym małżeństwem zawartym jeszcze przed wojną, na kilka lat przed wybuchem wojny. W Koszalinie mieszkaliśmy do końca 1945 r. Pamiętam, na wiosnę 1946 r. przenieśliśmy się do rodziny na kilka miesięcy do Warszawy.

Mieszkaliśmy na ulicy Koźlej na Starówce, w takiej piwnicy po całkowicie zburzonej kamienicy, która była jednym wielkim szkieletem, włącznie do pierwszego piętra czy do parteru, natomiast były zachowane warunki takie możliwe do zamieszkania w piwnicy na tej ulicy i tam mieszkaliśmy w kilka, co najmniej o ile jak teraz próbuję sobie przypomnieć, to było tam na pewno około 8 do 10 osób. Taka liczna rodzina była. W tym czasie mama po śmierci ojca poznała mężczyznę, nazywał się Jan Ossowski, który wrócił także z niewoli niemieckiej. Był to prosty człowiek, już całkowicie, można powiedzieć, takim prawdziwym analfabetą, który był pracownikiem całe życie, pracownikiem fizycznym, natomiast w Niemczech nauczył się najpierw pewnie jako uczeń, później może jako rodzaj czeladnika, nauczył się fachu, który nazywał się zdun, teraz już nieistniejącego, a więc człowieka, który miał umiejętność stawiania kaflowych kuchni i pieców, które były podstawowym narzędziem ogrzewania mieszkań, można powiedzieć, w całym XIX i w wielu przypadkach do lat nawet chyba i 60-tych, a może i trochę późniejszych XX wieku. Więc ten prosty człowiek, dosyć prymitywny muszę powiedzieć, ale musiał mieć jakiś dar umiejętności dawania sobie sprawy w trudnych sytuacjach, bo jak powiedziałem, on wprawdzie nigdy nie przedstawił dokładnie tej swojej opowieści, tego exodusu, jakiego był sprawcą, mianowicie on uciekł. W ostatnich miesiącach wojny uciekł z Prus Wschodnich, gdzie był właśnie gdzieś w okolicach dzisiejszego Królewca i tam pracował jako zdun w jakiejś firmie takiej prywatnej niemieckiej i uciekł stamtąd i dotarł sam, samodzielnie do Warszawy. Jak dziś mógłbym sobie pomyśleć, to naprawdę wymagało to z jednej strony odwagi, determinacji, ale także jakiegoś rozumu, który umożliwił mu przetrwanie w czasie tej długiej drogi, podczas której cały czas przecież musiał się ukrywać. Prawdopodobnie nie był poszukiwany ani przez gestapo, ani przez inne policyjne komórki niemieckie. Niemniej jednak stanowił jakiś w każdej sytuacji, na pewno wisiało nad nim jakieś zagrożenie. Otóż mama związała się z tym człowiekiem, który później okazało się, kiedy już po kilku miesiącach pobytu w Warszawie, okazało się, że nie ma szans na sensowne mieszkanie, znalezienie jakiegoś miejsca i zaczepienie się w Warszawie, zarówno z punktu widzenia samego mieszkania, jak i pracy. Moja mama, ja wtedy byłem całkowicie przecież nieświadomy, skorzystała prawdopodobnie z oferty, którą ówczesna „władza ludowa”, jak się mówiło, przedstawiła i zdecydowali się wyjechać na tzw. „ziemie odzyskane”, gdzie trafili do Koszalina, miejsca, w którym było mnóstwo dużych, całkiem ładnych mieszkań, a nawet domków, które wprost nawoływały, mówię o władzach, nawoływały do osiedlania się na tych terenach. I moi opiekunowie, moja mama i ojczym, tak trzeba powiedzieć, nazywał się Jan Osowski, zamieszkali w bardzo sympatycznym samodzielnym domku, takim klasycznym, niemieckim, jednopiętrowym, z olbrzymim zapleczem, takim gospodarczym, wielkie podwórko, całe podwórko, można powiedzieć, obudowane komórkami, także jednopiętrowymi, będącymi pomieszczeniem zarówno na wszelkie narzędzia ogrodowe, ponieważ zaraz za tymi budynkami do tego domku przynależała duża posesja ogrodowa, włącznie z drzewami owocowymi, śliwki, jabłka, gruszki, porzeczki, agrest. Wszystko to było pozostawione i najwyraźniej pielęgnowane przez poprzednich właścicieli niemieckich, którzy zostali stamtąd wysiedleni. I tam mieszkaliśmy. Okazało się, że to były moje pierwsze takie zetknięcia się z rzeczywistością. Mianowicie kiedy ten prosty człowiek, mój ojczym, był niewątpliwie wielbicielem Józefa Piłsudskiego. I pamiętam, że na każdego 11 listopada na dzień odzyskania niepodległości wyciągał gdzieś tam z jakichś zakamarków taką prawdziwą szablę ułańską, aczkolwiek nigdy w Ułanach nie służył i z tą szablą wymachując, krzyczał: „bo zawsze mówiłem – i tu przeklinał – Piłsudski miał rację, goń bolszewika, goń”. I to tak w takiej dziecięcej pamięci zapadło u mnie. W Koszalinie, rok po przyjeździe do Koszalina zacząłem chodzić do szkoły. Pamiętam także jeden epizod, z którego wtedy nie zdawałem sobie całkowicie sprawy, a było to ważne o tyle, że akurat łączy się z miejscem, w którym jesteśmy, czyli z Muzeum Żołnierzy Wyklętych. Mianowicie w Koszalinie był taki budynek, stary młyn, bardzo wysoki, okazały bu-

dynek stojący na rogu ulicy jednej i drugiej, akurat naprzeciwko parku, w najbardziej okazałym miejscu Koszalina, przez które przepływała jakaś rzeczka. I ten młyn był poruszany wtedy, gdy był czynny, naturalnym wodospadem zbudowanym przez Niemców, który nakręcał czy napędzał turbinę mielącą w tym młynie zboże. I byłem świadkiem jak którejś niedzieli, to dokładnie pamiętam, że to była niedziela, ponieważ dzień był taki po nabożeństwie, a moi rodzice chodzili, jako katolicy chodzili na nabożeństwa, w pobliżu nas była duża katedra, do której chodziliśmy i pamiętam, że w niedzielę nagle rozległy się w pobliżu miejsca mojego zamieszkania strzały, więc wybiegliśmy. Tam już spotkałem sporo ludzi obserwujących ten młyn i okazało się, że milicja ściga tam żołnierzy Wyklętych, że w tym młynie jakaś grupa żołnierzy Wyklętych, dla mnie do tej pory nieokreślonych, nieznanych, nigdy nie próbowałem nawet, muszę się przyznać, sprawdzenia, czy to gdziekolwiek zostało odnotowane, właśnie między innymi w historii żołnierzy Wyklętych. Akurat ten drobny epizod, kiedy milicja koszalińska, można powiedzieć, likwidowała, ponieważ tam, kiedy staliśmy, ja tam stałem pewnie nie dłużej niż około pół godziny, może godzinę, jako dziecko wśród ludzi dorosłych zakończyła się, ta operacja. Też nie pamiętam, czy wyprowadzeniem kilku żołnierzy Wyklętych z tego młyna, czy w jaki sposób ta akcja się zakończyła, ale pamiętam, że z całą pewnością byłem świadkiem takiego epizodu. – A jakie były te warunki życiowe w tym Koszalinie? – W tym Koszalinie, nie wiem, czy już wspominałem o głodzie, to tak naprawdę, jeśli chodzi o sprawy głodu, to to, co pozostało w mojej świadomości i co ciąży do pewnego stopnia do dziś na mojej osobowości, że ja jestem niezwykle zapobiegliwy, jeśli chodzi o tworzenie zapasów. To wniknęło, to prawdopodobnie pochodzi stąd, że ja będąc w Koszalinie przez wiele, wiele miesięcy cierpieliśmy autentyczny głód, ale taki głód, który nakazywał jeść nawet znalezione gdziekolwiek resztki jakiegoś jedzenia. Pamiętam również taki epizod, który można powiedzieć, był pełen dramatu, z jednej strony, a z drugiej strony od razu mogę powiedzieć panu, że wyobrażam to sobie jako wstrząsającą scenę filmową, kiedy troje ludzi jedzie nad ranem, o zmierzchu, ciągnąc za sobą jakiś wózek dziecięcy. Jedzie w kierunku wielkiej wytwórni mięsa, kiełbas, czyli wtedy tak zwanej masarni i czeka na to, co z tej masarni zostanie wyrzucone jako resztki po tej produkcji kierowanej później do sprzedaży do sklepów. Ci dorośli ludzie razem z tym małym chłopcem, który im towarzyszy, mają na tym wózku dwa, trzy takie klasyczne garnki, właściwie wiadra, można powiedzieć, w które zbierają te resztki wyrzucane z tej masarni. I przywożą do domu, przetwarzają jakoś i to stanowi często kilkudniowe, jedyne ich pożywienie. Jak mówię, to wryło mi się tak w pamięć, że ja teraz gromadzę zapasy, jest tak mimo woli, tego wszystkiego, co mi jest na co dzień potrzebne. Na przykład wtedy, kiedy paliłem papierosy, to nigdy nie wyobrażałem sobie, że mogę zostać w domu bez kilku paczek papierosów. Teraz bez kilku kilogramów cukru, mąki, kilku bochenków chleba, czy bułki załadowanej do lodówki. Taki nawyk gromadzenia na „wszelki wypadek” zapasów. A cóż to będzie, jeżeli nagle okaże się, że to jest dla mnie niedostępne? W okresie w Koszalinie byłem przeciętnym uczniem w szkole podstawowej, ale bez żadnych kłopotów przechodziłem, jak to się mówi, z klasy do klasy. Później skończyłem szkołę średnią także, gdzie zrodziły się pierwsze przyjaźnie moje w tej szkole średniej i różnych ludzi, których losy potoczyły się dziwnie. Niektórzy z nich byli znani, niektórzy mniej znani, ale dla mnie było zdumiewające, że część tych moich rówieśników, którzy w szkole średniej byli naprawdę wybitnie uzdolnieni, można powiedzieć pod wieloma względami utalentowani, niektórzy z nich później jakoś to życie ułożyło się dla nich w ten sposób, że nie wykorzystali tych swoich wielkich możliwości, jakie w nich tkwiły. Tu mógłbym wymienić, może nie będę nawet posługiwał się nazwiskami, bo to nie jest istotne. Istotne jest to, że jeden był wszechstronnie uzdolniony pod względem nauk matematycznych, fizyki, chemii. Drugi był świetnym historykiem. Trzeci był inteligentnym, wybitnie inteligentnym i wszystko dobrze mu szło. Jednym z nich mogę dziś powiedzieć, to był między innymi Stanisław Ciosek, którego losy związał, który losy swoje związał

z polityką w tamtych czasach. Inni w inny sposób, ale także okazali się do pewnego stopnia ludźmi o takich skłonnościach adaptacyjnych, konformistycznych, zatrudnili się w Służbie Bezpieczeństwa. Ale muszę też powiedzieć, że jeden z dobrych naprawdę kolegów uchodzących w tej szkole średniej za jednego z ostatnich uczniów, który z klasy do klasy był przeczolgiwany, dzięki wspaniałomyślności nauczycieli był przeczolgiwany z klasy do klasy, po kilku latach, kiedy wróciłem do Koszalina już jako dojrzały człowiek w okresie PRL-u, okazało się, że pracuje w kontrwywiadzie. I wtedy sobie uświadomiłem, Boże, jeżeli tacy ludzie pracują w kontrwywiadzie, to jaki musi być ten kontrwywiad? Proszę zauważyć, że Koszalin to miasto nadmorskie. Blisko jest, wprawdzie nie było blisko dużego portu, bo najbliższym portem była Ustka pod Słupskiem, niemniej jednak zawsze ten pas nad Morzem Bałtyckim był w jakimś stopniu strzeżony przez siły militarne, zarówno przez armię, jak i przez milicję. Tenże człowiek, który naprawdę, można powiedzieć, miał kłopoty ze wszystkim, pracował w kontrwywiadzie. Ja po skończeniu szkoły średniej zdałem na Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Gdańsku, gdzie zastał mnie, można powiedzieć, październik. Pamiętam już jako nieupieczony jeszcze albo świeżo upieczony student pierwszorzocznik, który ledwo rozpoczął rok akademicki, śledził niezwykle pilnie to, co miało miejsce w październiku 1956 r., w tym jak dziś pamiętam doskonale, kiedy jakby wprzęgnięty w głos radia słuchałem słynnego przemówienia Gomułki na placu Defilad w Warszawie, w pobliżu dzisiejszego Pałacu Kultury i Nauki, słynne przemówienie, w którym Gomułka tchnął w Polaków nadzieję na nieco lepsze życie. Przy czym dla mnie to lepsze życie przejawiało się głównie w takim życiu codziennym i w takiej biedzie, można powiedzieć, czy w takim banalnym, ale dosyć kłopotliwym często, ekonomicznym życiu, w którym brakowało zawsze na bardzo wiele, w którym przez całe życie, właściwie do końca szkoły średniej, zawsze przychodziłem albo w jakichś przeróbkach, po jakichś starszych ludziach, albo w rzeczach, które mamie ktoś tam przekazywał w dobrym geście, albo które po prostu mama odkupywała jako rzeczy przechodzone od ludzi, którzy chcieli się już tych zbędnych różnych rzeczy pozbyć. I tak było, poczynszy od stóp do głów, mogę powiedzieć. Bardzo często bywałem właśnie w taki sposób ubrany, nie zwracając zresztą na to uwagi, ale już im wyżej w szkole średniej byłem, tym coraz bardziej rozumiałem tę namiastkę takiej zwykłej egzystencji, a nie prawdziwej, w której można zarabiać, czy niektórzy ludzie mogą zarabiać tyle, żeby sobie pozwolić na jakiegokolwiek przyjemności. Jeśli chodzi o te przemiany, to oczywiście nie miałem jeszcze wtedy dokładnej wiedzy o prześladowaniach ze strony Służby Bezpieczeństwa, w ogóle o tym całym aparacie represji, który dotykał polskie społeczeństwo, ponieważ, jak mówię, żyjąc w takiej dosyć zamkniętej enklawie ludzi, powiedzmy wprost, ludzi stosunkowo nie mało zamożnych, bo to mało powiedziane, ludzi po prostu ubogich, jakby ich i moje horyzonty takie codzienne nie sięgały poza ten horyzont szkoły, bytu rodzinnego i jakichś takich nowo rodzących się podstawowych przyjemności typu uprawianie jakiegoś sportu i tak dalej. Niemniej jednak już wtedy na pierwszym roku studiów wiedziałem dokładnie, co znaczą te obietnice. Obietnice Gomułki. Już miałem wtedy świadomość, kto tak naprawdę w Polsce rządzi i rozumiałem już w miarę dokładnie tę postawę swojego ojczyzna, który w tak ważnym dla Polski dniu wykrzykiwał: „Goń bolszewika, goń”. Okres studiów to okres względnie powodzenia, a jednocześnie coraz częstszego sięgania do polityki. Różnie to się objawiało, ale przede wszystkim w dosyć namiętym jednak czytaniu literatury, przede wszystkim gazet, dostępnych wówczas w Polsce, jak wiemy dokładnie, nieodróżnicowanych, włącznie z Trybuną Ludu, którą jednak już nauczyłem się czytać jako biuletyn rządzącej partii i umieć odczytywać często pod różnymi informacjami dotyczącymi zmian w Biurze Politycznym. To było nawet taką zabawą naszą, między innymi kilku osób, już pamiętam w połowie roku, na tym I roku, takiej zabawy, co przyniosą te zmiany kadrowe, nie zdając sobie sprawy z tego, że w gruncie rzeczy, jeśli chodzi o ogólny kierunek działań rządu, działań Polski, to nie miało większego znaczenia, jak zmieniały się te figury na mapie Komitetu Cen-

tralnego, a przede wszystkim Biura Politycznego partii. Niemniej jednak dla nas to były takie próby pierwszej politycznej ekwilibrystyki i analizy, co dana postać może ze sobą przynieść. I tak było, aż dotrwałem, mogę powiedzieć, do okresu, w którym zacząłem dosyć pilnie słuchać Wolnej Europy, już wtedy w miarę dostępnej, jeżeli miało się dobry sprzęt. I to coraz bardziej otwierało mi oczy na polską rzeczywistość, na to, co naprawdę w Polsce się dzieje pod tą powłoką. Powłoką, przepraszam, pod tą powłoką wznoszących hasła, walki o lud pracujący miast i wsi, walki o pokój, postępu, przemian gospodarczych i tak dalej, tych wszystkich frazesów, którymi karmiła partia społeczeństwo. I wreszcie też dzięki Wolnej Europie dostrzegłem, jak to społeczeństwo się dzieli, jakie ono ma warstwy, jakie grupy społeczne i jaka jest funkcja poszczególnych tych grup społecznych. I to zaczęło, to skierowało mnie, można powiedzieć, już tak dosyć bliżej polityki. Tak że po II roku studiów, kiedy przyjechałem na kolejne ferie do Koszalina, zacząłem rozmawiać o tym z kolegami, tymi, którzy bądź byli na I, bądź II roku studiów, bądź na tych, którzy byli w dziesiątej, w jedenastej klasie szkoły średniej, byli za chwilę, albo już skończyli przed rokiem maturę, ale pracowali w Koszalinie, albo innymi, ale takimi swoimi najbliższymi, zaufanymi ludźmi, zdając sobie sprawę z tego, nie że to zaraz grozi jakimiś represjami ze strony władzy, takie rozmowy o polityce, niemniej jednak, że ten zamiar, z którym się powoli zacząłem nosić i który trafił na bardzo taki, można powiedzieć, podatny grunt kilku co najmniej, kilkunastu kolegów, gdzie głównie za sprawą m.in. człowieka, który można powiedzieć, był jeśli chodzi o środowisko w Koszalinie, liderem takiej mini młodzieżowej opozycji Jerzego Patana. Stworzyliśmy taki ruch, który nazwaliśmy Młoda Polska i wiedzieliśmy, że jedynym właściwie dostępnym narzędziem reakcji z naszej strony to może być próba tego, co znaleźliśmy z literatury rewolucyjnej SDKLiP i innych ruchów rewolucyjnych, mianowicie uświadamianie za pomocą nielegalnej prasy. No a tą nielegalną prasą w naszym przypadku była możliwość ulotek, wytworzenia ulotek. Ja te ulotki napisałem. Zdaje się, jakieś kilka lat temu widziałem nawet tekst tej ulotki w IPN-ie, w moich można powiedzieć, aktach osobowych. To była taka prosta, młodzieżowa, naiwna, dosyć wyrażona najprostszymi słowami, taki manifest polityczny, pokazujący z jednej strony tą zależność Polski od Rosji bolszewickiej, a z drugiej strony pokazanie jak ideały, które dwa lata wcześniej Gomułka wygłosił w swoim słynnym przemówieniu, w którym objął bezpośrednio władzę po, można powiedzieć, kacie Polski, zbrodniarzu Polski Bolesławie Bierucie zostały zaprzepaszczone. Kiedy zdecydowaliśmy się wytwarzać te ulotki, z nimi wiązały się różne takie, można powiedzieć, młodzieżowe sposoby ich produkcji. Kilka z nich nosiło też takie znamiona, można powiedzieć, klasycznego rewolucjonizmu polegającego nie tylko na nielegalności, ale także na korzystaniu, można powiedzieć, z bezprawnego działania. Mianowicie Jurek Patan jako absolwent jakiejś szkoły takiej gospodarczej został zatrudniony jako pomocnik w powielarni wojskowej, w jednostce wojskowej będącej w Koszalinie. To była chyba jednostka artylerii przeciwlotniczej na przedmieściach Koszalina. On tam pracował w powielarni jako pomocnik. Już nawet nie pamiętam, czy to były praktyki jego w czasie, gdy chodził do tej szkoły, czy pierwsza praca po tej szkole. W każdym razie on miał dostęp do tej powielarni. No i zdecydowaliśmy się, on najpierw zaproponował, że trzeba wykraść ten powielacz po to, żeby na nim te ulotki wytwarzać, ale później doszliśmy do wniosku, już nie pamiętam, który wpadł z nas na ten pomysł, że po co kraść ten powielacz, jeżeli być może istnieje możliwość wytworzenia tych ulotek na powielaczu znajdującym się w tym miejscu, w którym jest, a nie ma tak, że przynajmniej w przyszłości zarzutu kradzieży, co oczywiście nie było znaczenia, głównie chodziło o to, że z kradzieżą wiązało się o wiele większe ryzyko i przede wszystkim trudności czysto takie techniczne. No więc stanęło na tym, że Jurek Patan jako znawca techniki powielania, włamał się w nocy do tej powielarni. Ona była na szczęście, wprawdzie była na terenie jednostki wojskowej, ale była na szczęście w jednym z takich budynków gospodarczych, gdzieś tam na uboczu tych głównych, głównego tego

korpusu, można powiedzieć, tych koszar wojskowych i tych budynków o charakterze właśnie takim czysto wojskowym. Więc udało się tam po uprzednim rozpoznaniu dokładnie i przygotowaniu z jego strony. Mianowicie możliwości zostawienia, w taki sposób zamknięcia wejścia do tej piwnicy, do powielarni, które umożliwiło wyważenie, lekkie wyważenie, czyli szybkie wyważenie kraty prowadzącej przez okno do tej powielarni. Wytworzyliśmy około 100 ulotek i chyba w jakieś zimowe, bo to ferie były zwykle na przełomie stycznia i lutego, więc prawdopodobnie to musiało mieć miejsce około połowy lutego. Te ulotki rozrzuciliśmy w Koszalinie. No z tym także wiążą się pewne obrazy, które dosyć dobrze charakteryzują z jednej strony takie pierwsze odruchy autentycznego działania, autentycznego młodzieńczego protestu przeciwko złu, jakie rozlewało się od blisko już wtedy 20 lat w Polsce, a z drugiej strony taka charakterystyczna dla młodzieńczego temperamentu, dla młodzieńczej umysłu rodzaj ryzyka czy wręcz połączonego z brawurą, a polegało to na tym, wie Pan, że te ulotki oprócz tego, że przede wszystkim ze względu na ich ilość, nie rozrzucaliśmy, tak jak to można byłoby zrobić z dachu czy z helikoptera, tylko przyklejaliśmy wedle nas dla takich znaczących miejsc w Koszalinie, w którym stosunkowo jak najwięcej ludzi będzie miała możliwość przeczytania, że jest jakaś grupa ludzi, która przeciwstawia się temu powszechnemu terrorowi panującemu wówczas w Polsce. Więc przyklejaliśmy, bo to kleju używaliśmy, te kartki z tymi ulotkami, przede wszystkim na witrynach sklepowych takich znanych miejsc w Koszalinie, uczęszczanych przez ludzi, między innymi w okolicy dworca, ale później na głównej ulicy, na aptekach, sklepach spożywczych, jakichś salonach, które tam miały miejsce, chyba na fryzjerniach. Ale także postanowiliśmy m.in. na Komitecie Wojewódzkim partii, na dwóch stronach takiego wielkiego budynku przy drzwiach wejściowych. Później do drzwi wejściowych do komendy wojewódzkiej policji [milicji] w nocy, to pamiętam, rzeczywiście było przeżycie niesamowite, kiedy robiłem to razem, ale to już nie z Jurkiem Patanem, tylko chyba z Robertem Saciukiem, o ile dobrze pamiętam. Tak się nazywał ten mój przyjaciel wtedy. Zresztą późniejszy profesor chyba, profesor psychologii na Uniwersytecie Wrocławskim, jeden z takich badaczy neofreudyzmu w Polsce. Inni koledzy, pamiętam np. Wiesio Godek, m.in. także Jurek Patan, kilku innych, wszyscy podzieleni byliśmy na trzyosobowe grupy, czyli musiały być około cztery takie grupy. Dwóch tych wykonawców, a trzecia osoba to był ten, który miał jakby asekurować i rozglądać się, czy przypadkiem nie ma jakiegoś niebezpieczeństwa. Więc my, jak mówię, w Komitecie Wojewódzkim, na drzwiach milicji obywatelskiej, no i wreszcie także nie darowaliśmy sobie, żeby nie przyczepić tych ulotek na postumencie takiego głównego elementu dominacji Związku Radzieckiego w Polsce, jakim był pomnik Wdzięczności dla Żołnierzy Radzieckich, stojący na głównym placu, takim defiladowym można powiedzieć, przed Komitetem Wojewódzkim Partii, pomniku. No i na tym pomniku także przykleiliśmy z czterech stron, tak jak przystało na prawdziwego Światowida. Pełni satysfakcji i chępliwości ze swojego wielkiego czynu, jak nam się wydawało, zostaliśmy jednakże szybko zdemaskowani i pamiętam, część kolegów została zatrzymanych. Ja się dowiedziałem tego samego dnia, kiedy oni zostali zatrzymani, od dziewczyny jednego z nich. Próbowałem się zastanawiać, czy również już o mnie wiedzą, czy jeszcze nie, bo jeszcze chyba Jerzy Patan nie był zatrzymany. Konsultowaliśmy to, ale okazało się, że niestety chyba po dwóch czy trzech dniach jeden, czy drugi z kolegów nie wytrzymał tego ciśnienia aresztu i te nasze nazwiska zostały ujawnione. Ja pamiętam, że tego dnia, kiedy, to było 2–3 dni po aresztowaniu tych pierwszych, kiedy wracałem do domu wieczorem, stały, jak się później okazało, to mnie poinformowano z jednej i z drugiej strony tego mojego domu w odległości około 100 metrów, ale gdzie była jedyna droga dotarcia do tego mojego mieszkania w Koszalinie, żeby uprzedzić mnie, że w domu czeka na mnie Służba Bezpieczeństwa. Wówczas zdecydowałem się na błyskawiczną ucieczkę z Koszalina. Od razu, bezpośrednio po tej informacji wsiałem do najbliższego pociągu i pojechałem do swojego przyjaciela z tego okresu studiów polonijnych w Gdańsku, nazwi-

skiem Ryszard Wolny do Bydgoszczy. On mieszkał w takiej dzielnicy, która nazywa się Podgórze. Ja w tej chwili nie pamiętam dokładnie, ale to taka bardzo można powiedzieć, robotnicza dzielnica Bydgoszczy, ówczesna taka charakteryzująca się mniej więcej tym jak mówimy o Warszawie, Warszawa Wola jako takie określenie obrazujące Warszawę proletariacką, Warszawę robotniczą, Warszawa Wola. Więc na tym Podgórzu ukrywałem się u niego bez wiedzy o mojej sytuacji rodziców, tylko jako przyjaciel, który bywa w okresie, najpierw ferii, a później przedłużonego urlopu dziekańskiego, bo zdecydowaliśmy się, on sam pojechał, ale również w moim imieniu. Nie wiem, jak to załatwił, ale poinformował, że ja również biorę urlop dziekański. Być może to był m.in. jeden z tych powodów, kiedy po kilku miesiącach zostałem nad ranem zbudzony w mieszkaniu Ryszarda Wolnego, zapakowany do samochodu i wieziony samochodem, chyba wtedy typu Polonez, czy jakąś inną Warszawą do Koszalina na komendę milicji obywatelskiej. – Panie Jerzy, to jest wiosna 1958 r., tak? – To musiał być, ponieważ ja uciekłem w lutym, to musiał być maj, kwiecień 1958 r.